Roman Zygadlewicz, *Żołnierze Września w Łódzkim Ruchu Oporu, cz. II: ZWZ Dzielnica Łódź - Północ Placówka nr 2, sierpień 1940 – lipiec 1942*.

6 marca 1942 r. w Zgierzu

Tragicznie rozpoczęty dzień 6 marca 1942 r. zakończył się drugą tragedią w Zgierzu. Konsekwencją obydwu tych wydarzeń po upływie czternastu dni była masowa egzekucja.

W tym dniu (6 marca) około godz. 17.00 sierżant służby stałej w 4. dyonie pancernym w Zgierzu Józef Mierzyński przywieziony został samochodem osobowym w eskorcie gestapowców Friedricha Lutza i Kurta Torna do miejsca przedwojennego zamieszkania w Zgierzu przy ul. Piłsudskiego 54 (z wejściem od ul. Marii Skłodowskiej-Curie) w celu wskazania miejsca ukrycia broni, do czego przyznał się w czasie przesłuchań po wcześniejszym aresztowaniu. Ulica M. Skłodowskiej-Curie stanowiła przecznicę między ul. Strykowską, prowadzącą do stacji kolejowej, a ul. Piłsudskiego, wylotową w kierunku Łagiewnik. Była ona zabudowana tylko po prawej stronie budynkami w ogródkach o charakterze willowym.

Według relacji Gerharda Rydla „Trampa" zajścia w Zgierzu miały następujący przebieg:

„6 marca 1942 r. po południu pełniłem dyżur na stacji w Zgierzu. Po godz. 17.00 któryś z kolejarzy Niemców zawiadomił mnie, że przy ul. Skłodowskiej-Curie (mieszkałem tam pod numerem 7) była strzelanina. Pełen najgorszych przeczuć – w moim mieszkaniu często wtedy przebywał i nocował Stanisław Gajda, który nie rozstawał się z bronią – zapewniłem sobie zastępstwo i pobiegłem do domu. Przed narożnym budynkiem przy ul. Piłsudskiego zastałem kilka samochodów oraz mnóstwo policjantów i gestapowców. Nieopodal stała Eugenia Rychterowa, żona zaprzyjaźnionego polskiego kolejarza (rodzina Rychterów od kilkunastu lat mieszkała w domu, w którym strzelano). Z uwagi na jej silne zdenerwowanie zabrałem ją z ulicy i oddałem pod opiekę swojej żony Krystyny. Według opowiadań Eugenii Rychterowej około 17.00 usłyszała ona zatrzymujący się przed wejściem przy ul. Skłodowskiej-Curie samochód. Rzadki i niepokojący, na pustej zazwyczaj ulicy, przypadek. Podeszła do okna. Z osobowego auta ze znakami rejestracyjnymi „SS" dwaj cywile wyprowadzili skutego więźnia. Rozpoznała w nim przedwojennego sąsiada przez ścianę – sierż. Józefa Mierzyńskiego. Słyszała ich kroki na strychu. Szofer pozostał w samochodzie. Będąc przerażona, nie odchodziła od okna. Po kilku minutach (około 3–5) usłyszała trzy strzały i odgłosy kogoś zbiegającego ze schodów. Szofer wyskoczył z auta i strzelał do uciekającego, który przeskakiwał płot odgradzający ogrody. Uciekającym był Mierzyński. Ostrzeliwał się, ale strzały obydwu były niecelne. Szofer wbiegł na strych, szybko wrócił i odjechał. Wtedy Rychterowa opuściła mieszkanie. Prosiła, by przestrzec męża (który miał przyjechać ze służby wieczornym pociągiem), aby nie wracał do domu.

Udałem się na stację i dalej pełniłem służbę. Liczne patrole policji sprawdzały każdy pociąg. Kolejarze Niemcy przez dłuższy czas komentowali wydarzenie i uzyskiwali coraz szersze i ściślejsze informacje. Według ich opowiadań, Mierzyński po wprowadzeniu na strych został uwolniony z kajdan (znaleziono je porzucone), prawdopodobnie w celu umożliwienia mu wydobycia ukrytej broni. Jeden pistolet został wręczony Lutzemu (leżał obok niego). Z drugiego Mierzyński strzelił do Torna. Strzał Lutzego chybił (znaleziono wystrzeloną łuskę). Następny strzał Mierzyńskiego był celny. Mierzyński zbiegł z pistoletem przez ogrody w kierunku stacji kolejowej. Późnym wieczorem patrole policji i organizacji paramilitarnych (SA, NSKK i NSFK) wyruszyły na ulice miasta. Wyciągano z domów ludzi

i gnano ich na boisko szkoły przy ul. Berka Joselewicza, gdzie trzymano ich do rana z podniesionymi rękami pod lufami karabinów maszynowych. Łapanki trwały całą noc. Według pośpiesznie sporządzonych przez blockleiterów[1] list ogółem zatrzymano ponad sześćset osób. Miasto zostało sterroryzowane. Ulice były wyludnione. Zatrzymanych zakładników (po dokonanej rano selekcji) przewieziono odpowiednio – mężczyzn do obozu w Radogoszczu, a kobiety, w tym Eugenię Rychter (przed godziną policyjną – mimo perswazji – wróciła do domu), do więzienia w Łodzi przy ul. Gdańskiej. Ostrzeżony Jan Rychter odjechał następnym pociągiem do Łodzi i przez kilkanaście dni przebywał poza Zgierzem. W mieszkaniu Rychterów na suficie pojawiła się krwawa plama".

Wieczorem aresztowano żonę Józefa Mierzyńskiego – Joannę, zamieszkałą na Widzewie przy ul. Sępiej. Równocześnie rozklejono plakaty wzywające – pod karą śmierci – do informowania o miejscu pobytu Józefa Mierzyńskiego.

[…]

Śledztwo

Po wprowadzeniu 4 grudnia 1941 r. specjalnego prawa karnego dla Polaków i Żydów, zniesiono podstawową zasadę udziału stron w postępowaniu karnym, w związku z tym Polak nie był stroną w procesie, a tylko przedmiotem postępowania. Zdaniem postępowania karnego było obezwładnienie przeciwników ostrą i odstraszającą represją karną. Z zasady nie prowadzono śledztw, które mogłyby dostarczyć dowodów niewinności podejrzanych, ograniczano się do dochodzeń polegających na przyjmowaniu informacji i donosów, nawet oczywiście wątpliwych, bez sprawdzania ich zasadności. Stosowano niedozwolone metody śledcze: bito, grożono natychmiastowym zastrzeleniem w razie nie przyznania się do winy. W tych warunkach los aresztowanych członków Komendy Dzielnicy ZWZ był już przesądzony.

W świetle zebranych materiałów przebieg śledztwa był następujący.

Według relacji Lecha Paluszkiewicza:

„Po przywiezieniu do więzienia przy ul. Sterlinga zostałem skierowany do celi przejściowej, tzw. zugangzelle. Wepchnięty do środka, stałem bezradny. Niewielka cela była już pełna, a aresztowanych stale przybywało. Spotkałem tu ojca. Zbliżył się do mnie i powiedział: »Nic nie wiesz, ani kto przychodził, ani skąd i jakie gazetki czytaliśmy«. Obok – oparty o ścianę – siedział ktoś skrwawiony, cały czarny. Z trudem rozpoznałem w nim Góreckiego. Mówił niewyraźnie (wargi miał rozbite, usta bezzębne): »Nic nie powiedziałem, ode mnie niczego się nie dowiedzą, wytrzymam wszystko«. Rano rozdzielono nas. Mnie osadzono w celi 37 na poddaszu na III piętrze. Przesłuchiwany byłem jeden raz – 13 marca. Pytano mnie o to, kto przychodził, kto przynosił gazetki i jakie. Zachęcano: »Mów, jeśli ojciec niewinny, to zwolnimy«. W czasie przesłuchania ktoś wszedł. Odwróciłem się odruchowo i rozpoznałem przychodzącego do Góreckiego „podchorążego Tadzia". Uderzeniem w twarz przypomniano mi o zakazie odwracania się. Przybyły szybko wyszedł z pokoju. Tłumaczyłem się, że długo pracowałem, późno wracałem do domu i zaraz kładłem się spać. Przy mnie nikt obcy nie przychodził. Ojciec czytał niemieckie gazety. Przesłuchanie skończyło się biciem".

Według relacji Feliksa Chrzanowskiego, zamieszkałego w Łodzi przy ul. Okopowej 128, od listopada 1941 r. więźnia politycznego (RPPS) z celi 35 przy ul. Sterlinga:

„W celi osadzonych było około pięćdziesięciu więźniów, w tym Henryk Cyran.

[1] Stopień Blockleitera był najniższą rangą polityczną w hierarchii partii NSDAP. Blockleiter odpowiadał za nadzór określonego kwartału w miastach oraz na terenach jego sąsiedztwa.

Więźniowie na ogół nie zwierzali się z powodów aresztowania. O Cyranie wiedziano jednak, że ma „wojskówkę” (tak określano sprawy żołnierzy organizacji konspiracyjnych). Niemal codziennie był wywoływany na przesłuchania do gestapo. Wracał bardzo pobity. Od więźniów dowiedziałem się, że w sąsiedniej celi osadzony był Górecki, również z „wojskówką”. Po pierwszym przesłuchaniu został wniesiony do celi. Miał wybite oko i zęby, połamane żebra i prawą rękę. Mówiono, że rzucił się na przesłuchujących go gestapowców”.

9 marca 1942 r. (poniedziałek) matka „Heńka” otrzymała jego gryps: „Biją jak jasna cholera. Nikogo nie sypiemy. „Zawor” [Roman Zygadlewicz] i „Kuba” („Kuba” – Jan Kubiak, zamieszkały przy ul. Porzeczkowej, komendant placówki „Marysin”) niech wszystko zniszczą i wieją. Podchorąży „Tadzio” nas zdradził”. Gryps z celi wyniósł Sierankowski, który z grupą więźniów pracował przy robotach adaptacyjnych sąsiedniego budynku na więzienie (w kierunku ul. Południowej), i wręczył go – w celu doręczenia adresatce – zaufanemu pracownikowi przedsiębiorstwa prowadzącego roboty budowlane.
[…]

W każdy piątek przyjmowano dla więźniów przy ul. Sterlinga paczki z bielizną. Na dziedzińcu więzienia stały stoły. Wyczytany więzień podchodził, odbierał paczkę i zdawał brudną bieliznę – po śladach krwi rodziny odgadywały los najbliższych. Paczki od Ireny Hajkowskiej doręczane dla męża były zwracane. Na paczce doręczonej 13 marca (w tydzień po aresztowaniu) naniesiono adnotację „Radegast”. Po wywołaniu przez wartownika nazwiska „Hajkowska” podeszła do niej matka „Heńka” Aniela Cyranowa i zapytała ją, czy dostała gryps (wg relacji Ireny Hajkowskiej).

Na przebieg śledztwa wpłynęły wydarzenia w Zgierzu. Kierownictwo gestapo w Łodzi wystąpiło o zezwolenie na publiczną egzekucję stu osób spośród zatrzymanych zakładników. Wniosek zaaprobowano. Z uwagi jednak na lekkomyślność zabitych gestapowców, nakazano przeznaczyć na egzekucję ujętych członków ruchu oporu (wg relacji Gerharda Rydla).

Powyższa decyzja spowodowała przyśpieszenie zakończenia śledztwa przeciwko Komendantowi Wacławowi Góreckiemu i osobom ujętym wraz z nim. Na szczęście pchor. „Tadzio” niewiele wiedział o działalności konspiracyjnej, a aresztowani wykazali odporność na tortury i nieugiętość charakterów. Krąg aresztowanych zamknął się na tych, których zdołano dopaść w pierwszym momencie. Sytuacja ich była beznadziejna. Konfrontacje z pchor. „Tadziem” unicestwiały próby obrony.

Komendant Wacław Górecki przetrzymał piekło śledztwa, milcząc uparcie do końca. Gdy przyszedł czas konfrontacji, zachował postawę, w jaką wierzył i w jakiej nas utwierdzał.

Łącznik Henryk Cyran znalazł siły i środki, by przestrzec zagrożonych i ujawnić zdradę pchor. „Tadzia”.

Porucznik Antoni Hajkowski, skaut od 1916 r., ochotnik podczas obrony Warszawy w 1920 r., żołnierz Września 1939 r., ceną swego życia udokumentował umiłowanie wolności i niepodległości.

Michał Paluszkiewicz w poczuciu obowiązku patriotycznego, zniósł lęk o los aresztowanej najbliższej rodziny – łącznie z nieletnimi dziećmi – i wytrzymał tortury śledztwa.

Egzekucja stu w Zgierzu

Dzień 20 marca 1942 r. stał się symbolem zbrodni masowej, która miała przerazić Polaków, złamać opór, pozbawić nadziei na przetrwanie i ostateczne zwycięstwo.

Skazańców wybrano spośród więźniów więzień przy ul. Sterlinga i Gdańskiej oraz

z obozu w Radogoszczu w Łodzi.

Według relacji Feliksa Chrzanowskiego:

„19 marca 1942 r. wieczorem przyszli do więzienia przy ul. Sterlinga gestapowcy. Zajęli pokój nad bramą, tzw. »szpitalkę«. Po apelu wzywano więźniów na przesłuchania według ustalonej listy. Pytano m.in., czy przesłuchiwany posiada w rodzinie Niemców. Piekarski z Rudy przyznał się do szwagra Niemca i podpisał kartę koloru czerwonego: »Czuję się winny wobec III Rzeszy, działając w podziemiu na jej szkodę. Jestem winny kary obozu koncentracyjnego«. Został zesłany do Mauthausen.

Więźniowie, którzy nie posiadali takich więzów rodzinnych lub się do nich nie przyznawali, podpisywali kartki żółte. Wiedzieliśmy, że oznaczają one wyrok śmierci. Przesłuchanych więźniów odprowadzano pod bronią do cel.

Mecenas Kazimierz Kowalski (członek kierownictwa Stronnictwa Narodowego) po powrocie z przesłuchania opowiadał więźniom celi 35, że następnego dnia będzie wysłany do ciężkiego obozu. Pakował swój dobytek, w tym półlitrowy garnuszek. Odmówił jego pozostawienia, bo »przyda się w transporcie«. Stanisława Przelaskowskiego z Kalisza (około 30 lat, żonaty, reemigrant z Ameryki) pytano, czy ma w rodzinie Niemców. Mówiono mu o transporcie do kopania okopów, ale dostał do podpisania żółtą kartkę i dlatego część rzeczy rozdał więźniom, a niektóre (buty wojskowe i bieliznę) zapakował z przeznaczeniem ich dla rodziny”.

Według relacji Lech Paluszkiewicza:

„Wieczorem 19 marca 1942 r. wywołano z celi Paluszkiewicza. Wyszedłem. Gestapowcy sprawdzili z listą i odesłali mnie. Chodziło o Michała. W powrotnej drodze do celi spotkałem prowadzonego na przesłuchanie ojca. Dowiedziałem się później od więźniów, że podpisał żółtą kartkę”.

Według relacji Feliksa Chrzanowskiego – więźnia celi 35, Władysława Szczepańczyka (zamieszkały w Łodzi przy ul. Emilii Plater 35/37 m. 5) – więźnia celi 36 i Lecha Paluszkiewicza – więźnia celi 37:

„Cele mieściły się na poddaszu (przerobione ze strychu). Posiadały niskie, bez blind (zasłon), okna tuż nad podłogą, co umożliwiało obserwację południowej części więziennego dziedzińca. 20 marca – jak zwykle o godz. 6 rano – wachman uderzeniem kluczami w drzwi budził więźniów. Dwóch stubedienstów[2] sprzątało celę, a wszyscy biegli do ubikacji i umywalni. W bramie było pełno SS-manów i cywilów w skórzanych płaszczach. Więźniów zawrócono do cel. Po kilku minutach wachmani wykrzykiwali na korytarzu: »Tr□□□port u□t□r; ci do transportu wychodzić, zabrać wszystko«.

Z celi 35 wyszli:
– mec. Kazimierz Kowalski,
– Henryk Cyran,
– Napoleon Gruszczyński, zamieszkały na Chojnach przy ul. Tuszyńskiej,
– ksiądz Stanisław Zaborowicz z Kalisza,
– [brak imienia] Kupczak z Częstochowy,
– Ignacy Piechota zam. w Łodzi, przy ul. Narodowej[3] (woźny [przedwojennego] Sądu Wojewódzkiego ukrywający przez kilka dni sierż. Józefa Mierzyńskiego, po jego ucieczce ze Zgierza),

[2] Sztubowi – osoby zajmujące się utrzymaniem porządku w celi.
[3] W latach 1930-1940 ul. Narodowa, w 1940 r. Zoppoterstrasse, w latach 1940-1945 Melkerstrasse, od 1945 r. ponownie ul. Narodowa.

– Kazimierz Sekura z Turku (wychodząc z celi płakał),
– [brak imienia] Grobelny – szewc bez nogi, posługujący się szczudłem.

Z celi nr 36 wywołano:
– Stanisława Przelaskowskiego z Kalisza (około 30 lat, żonaty, reemigrant z Ameryki),
– Józefa Zimnego z Kalisza (ponad 30 lat, kilka dni wcześniej urodziła mu się córka),
– Feliksa Markowskiego z Wielunia (około 24 lat, student, na utrzymaniu sióstr),
– Józefa Siwego zam. w Łodzi przy ul. Dąbrowskiego (36 lat, rusznikarz),
– Klemensa Ostojskiego (woźny z fabryki Haeblera w Łodzi przy ul. Dąbrowskiego).

Więźniów w liczbie 76 ustawiono w dwuszeregu. Na prawym skrzydle stał mec. Kowalski, na lewym – Grobelny na szczudle. Szeregi oddaliły się o dwa kroki i stanęły plecami do siebie. Na wprost obserwujących stał ksiądz Zaborowicz. Patrzył w okno celi 35, gdzie pozostał jego brat Ignacy – nauczyciel z Kalisza. Ręką kreślił znak krzyża, a brat płakał. W szeregu rozpoznano prof. dr. Władysława Dzierżyńskiego – powszechnie znanego z nieugiętej postawy i zachowania godności (więźniowie pokazywali go sobie wzajemnie przy spotkaniu).

Więźniom kazano odłożyć paczki i zdjąć wierzchnią odzież (mimo ponad dwudziestostopniowego mrozu i śniegu). Przyniesiono dwie miednice z wodą, w których moczono parciane troki do wiązania z tyłu rąk. Więzy zaciskano mocno, pomagając sobie kolanami. Szeroką taśmą łączono więzy pięciu więźniów. SS-mani bili więźniów. Mecenasowi Kowalskiemu zrzucono binokle, a Przelaskowskiemu okulary, bez których nic nie widzieli. Więźniów zaciągano w kierunku bramy (niewidocznej z okien cel), skąd słychać było silniki samochodowe. Po wywiezieniu więźniów, z cel wypuszczono funkcyjnych do budynków gospodarczych po śniadanie. Widzieli oni jak w bramie wachmani wydawali Niemkom z sąsiednich domów odzież i paczki zabrane skazańcom”.

Według relacji Melanii Paluszkiewicz:

„W dniu 20 marca 1942 r. zabrano z więzienia przy ul. Gdańskiej cztery więźniarki, w tym:
– Joannę Mierzyńską, żonę sierż. Józefa Mierzyńskiego, więzioną w pojedynczej celi na I piętrze. Przez cały czas jej pobytu w więzieniu słychać było rozpaczliwe wołanie »Jasiu!«. Widziałyśmy, że to imię jej [illegible] śniol[illegible]t i go [illegible]y[illegible]k;
– Krystynę Bujnowską – łączniczkę ZWZ z Łasku;
– żonę woźnego sądu Piechoty, u którego przez kilka dni ukrywał się sierż. Józef Mierzyński po ucieczce ze Zgierza”.

Według relacji Hani Siewierskiej z obserwacji obozu w Radogoszczu (punkt obserwacyjny na strychu domku przylegającego do obozu):

„20 marca 1942 r. około godz. 8.30 na placu apelowym ustawiono grupę dwudziestu więźniów, którym rzucano kromki chleba. Więźniów załadowano do samochodu ciężarowego krytego plandeką i wywieziono w kierunku Zgierza. Dozorca obozu Zasada informował, że z grupą wyjechał także komendant obozu Pelzhauzen i że rzucany więźniom chleb miał zawierać środki odurzające”.
[…]

W międzyczasie w Zgierzu przygotowywano pokazową egzekucję.

Na miejsce kaźni wybrano tzw. Plac Stodół przy zbiegu ulic Piątkowskiej i Sienkiewicza, przeznaczony na miejskie wysypisko śmieci. Wybór nie był przypadkowy. Z pełnym cynizmem starano się upodlić tych, którzy mieli umrzeć, i tych, którzy ku

przestrodze mieli patrzeć na ich śmierć. W północnej części placu już od 17 marca przystąpiono do sypania wału ziemnego, pod którym miano rozstrzeliwać skazańców.

Wczesnym rankiem w piątek 20 marca 1942 r. (dzień był słoneczny i bardzo mroźny) funkcjonariusze policji, przy pomocy uzbrojonych członków formacji NSDAP, SS, SA, NSKK, NSFK i HJ, wyciągali brutalnie z domów mieszkańców Zgierza i okolicznych wsi (już 19 marca wieczorem wezwano gospodarzy do przygotowania na rano podwód), a także pasażerów tramwajów dojazdowych, zapowiadając »wesołe kino«. Opierających się bito. Od chorych żądano okazania świadectw lekarskich. Zatrzymanych pędzono na Plac Stodół pokrzykując: »Los verfluchte Polaken! Los Polnische Bande![4]«.

W egzekucji dobrowolnie uczestniczyła Krystyna Rydel, żona „Trampa". Postanowiła spełnić bardzo ciężki obowiązek w stosunku do zaprzyjaźnionego z jej rodziną Komendanta Wacława Góreckiego. Oto jej relacja[5]:

„Zastraszeni ludzie ustawiali się ciasno na wyznaczonych miejscach placu. Mówiono, że zgromadzono ponad sześć tysięcy osób. Dla spotęgowania grozy i zabezpieczenia przed aktem rozpaczy wyciągnięto spośród zebranych stu zakładników, którzy byliby dodatkowo rozstrzelani w razie jakiejkolwiek manifestacji lub oporu. Ustawiono ich przy płocie nieruchomości przy ul. Sienkiewicza 1, na wysokości wału ziemnego (chwytacza pocisków), w odległości około trzydziestu metrów w kierunku zachodnim. Przebiegu egzekucji strzegli policjanci (mówiono o liczbie dwustu) i liczni członkowie formacji paramilitarnych uzbrojonych w broń ręczną i sześć karabinów maszynowych.

Po godz. 10.00 do zebranych przemówił jakiś dygnitarz niemiecki – tłumaczył zgierski volksdeutsch Ludwik Kindlein. Usiłował zbiorowej egzekucji nadać pozory legalności. Z mściwą satysfakcją groził podobnymi represjami w przypadku podniesienia ręki na Niemca.

Nadjechały cztery auta ciężarowe. Wyciągano z nich skazańców. Podbiegali chłopaki z HJ, zrywali więźniom czapki i szaliki i bili ich. Zaczęto formować piętnastoosobowe rzędy. Wiązano wszystkich jedną liną. Prowadzono pod wał. Szli z gołymi, ogolonymi głowami, z gipsowymi bandażami na ustach. Przebiegłam wzrokiem twarze. Rozpoznałam twarz Cyrana i wleczony obok ludzki strzęp, to był chyba Komendant „Wacek" – zmasakrowanej twarzy nie mogłam rozpoznać. Przez łzy widziałam ich chwiejny krok w ostatniej drodze. Podprowadzono pierwszy szereg pod wał. Przy wale SS-mani pociągnęli za linę. Więźniowie padli na kolana. W odległości trzydziestu metrów od więźniów ustawiono pluton egzekucyjny złożony z trzydziestu SS-manów. Była godz. 10.40. Salwa wypadła jak jeden strzał. Pierwszy szereg strzelał z pozycji klęczącej, drugi – stojąc. Starannie dobrano ten pluton. Drgnęły tłumy. Szloch zerwał się z placu. Niemiecki lekarz w żółtym mundurze SA szedł wzdłuż rozrzuconych na śmietnisku ciał. Postępujący za nim gruby podoficer SS, na gest lekarskiej dłoni, dobijał rannych.

Trupy zarzucano słomą i podprowadzano następne piętnastki. Przerażająco głośno szczękały zamki karabinów. Nawet Niemcy przycichli – rozmiar zbrodni i ich przeraził. W ostatniej siódmej grupie było tylko dziewięć osób, w tym kobiety. Jeden ze skazańców zmarł w czasie transportu. Ułożono go obok, uzupełniając stan do dziesięciu osób. Po oddanej salwie przez gipsowy bandaż jednej z ofiar wydobywał się przyduszony pisk – protest zabijanej kobiety. Zerwał się jęk w sześciotysięcznym tłumie. SS-man uciszył mordowaną dopiero trzecim strzałem przyłożonego do głowy pistoletu.

Trupy załadowano sprawnie na auta. Te same, które przywiozły skazańców. Samochody odjechały w kierunku Lasów Lućmierskich.

---

[4] Z niem.: Naprzód, cholerni Polacy! Naprzód, polscy bandyci!

[5] Treść relacji została nieznacznie uzupełniona i zredagowana przez Romana Zygadlewicza, na potrzeby tworzonego maszynopisu.

Program zbrodni został wyczerpany, ale tłum stał w miejscu. Po przeżytej grozie nie przerażały krzyki Niemców ani uderzenia kolb karabinów. Gdy plac opustoszał, kilka kobiet w czerni, z woalami na twarzy, zebrało w chusteczki skrwawioną ziemię".
[…]

Udzielona lekcja strachu – wbrew oczekiwaniom Niemców – chybiła. Dramatyzm sytuacji rzuca jeszcze jedno spojrzenie na bestialstwo Niemców, a ponadto na problem zastosowanej moralnej odpowiedzialności zbiorowej za odważny, choć nieobliczalny w skutkach akt rozpaczy.

Zbrodnia w Zgierzu spotkała się z powszechnym oburzeniem nie tylko Polaków. Wiadomości o niej rozpowszechniały się szybko.

Według relacji Władysława Szczepańczyka – więźnia celi 36 w więzieniu przy ul. Sterlinga w Łodzi:

„20 marca 1942 r. po godz. 14.00 do celi 36 wprowadzono zuganga (nowego więźnia), który opowiadał o rozstrzelaniu w Zgierzu stu osób".

Według relacji Lecha Paluszkiewicza:

„20 marca 1942 r. wieczorem wachman (volksdeutsch, kuzyn Wilka – Polaka, zamieszkały przy ul. Wspólnej) wywołał mnie na korytarz i powiedział, że ojciec został rozstrzelany w Zgierzu".

Według relacji Ireny Hajkowskiej:

„Niemiec Böther – SA – rzeźnik zamieszkały przy [skrzyżowaniu ulic] Limanowskiego, róg Pułaskiego, biorący udział w egzekucji w Zgierzu, w rozmowie z kasjerem Ubezpieczalni Społecznej Jeskem (Polak) nadmienił: »Hajkowski też był rozstrzelany«".

Według relacji Marii Bugaj, zatrudnionej w 1942 r. w pracowni haftu Schörferowej przy ul. Próchnika 5 (Ziethenstrasse 50):

„Mąż Schörferowej – około 40 lat – pełnił służbę w 2 Polizeirevier przy ul. Biegańskiego i uczestniczył w egzekucji. Wrócił do domu w stanie silnego wzburzenia i rozchorował się – ogólny rozstrój nerwowy. Do służby w policji nie wrócił".

Według relacji Henryka Grabarczyka:

„20 marca 1942 r. około godz. 13.00 dostarczono (do Hotelu Manteuffel) piwo z firmy Gustaw Keilich (ul. Orla 25). Konwojent w mundurze NSDAP, wręczając kwit dostawy, powiedział: »No już jest was o stu mniej« i z uśmiechem opowiadał o przebiegu egzekucji w Zgierzu. Obecny przy tym buchalter Zygmunt Guttmeyer (Polak) zaczął krzyczeć, że to oburzające, aby kulturalny naród mógł popełnić takie barbarzyństwo. Niemiec przycichł. Zajście nie pociągnęło konsekwencji".

24 marca 1942 r. zwolniono z obozu w Radogoszczu zakładników zatrzymanych 6 marca 1942 r. w Zgierzu w czasie przeprowadzonej akcji terrorystycznej.